



Na łódach i morzach

Zbigniew Kruszyński

Zbigniew Kruszyński

NA LĄDACH I MORZACH
OPISY I OPOWIADANIA

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

Copyright © Zbigniew Kruszyński 1998
Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020
Okładka: Marek Chołoniewski
ISBN: 978-83-957928-9-2

Spis treści

Na lądach i morzach	4
Errata	11
Ruptura cordis	25
Jan i Anna	34
Lekcje	47
Sektor	59
Emporium	68
Żebracy	80
Suweniry	88
In Dichters Lande	97

Na ładach i morzach

Przeciwnie do kierunku jazdy. Dalej niż czterdzieści centymetrów od krawężnika. Blżej niż dziesięć metrów od przejścia dla pieszych. W zatoce dla autobusów. W obrębie przystanku. Na miejscu przekreślonym, zwanym też kopertą. Wzdłuż innego pojazdu, który nie jest rowerem ani też motocyklem, ale bez przyczepy. W obrębie znaku zakazu. W strefie. Z jednym kołem wychodzącym poza zaznaczony prostokąt. Przy wyjeździe z posesji, na zakręcie, blokując wytyczony żółtą linią dojazd. Parkowali, jak chcieli, z pogwałceniem przepisów, łamiąc niekiedy kilka zakazów naraz.

Wychodziłem przed ósmą, ubrany do pogody. Niestety, bywało, zmieniała się nagle, bez uprzedzenia, jak wysoko w górach. Rano świeciło słońce, tak że zostawiałem zawieszoną na krześle przy biurku marynarkę, a już koło południa zbierały się chmury, najpierw niewinne, białe, a potem ciemniejące, jakby ktoś ryż przyprószył cynamonem. Wtedy wiedziałem już, bez zadzierania głowy, że spadnie deszcz, przelotny, ale dokuczliwy, kwaśny i brudny, wszędzie na asfalcie zostawiający tęczujące plamy. Trzeba było uważać, by nie zostać oblanym przez kierowców pędzących na złamanie karku, co nieraz mi się przytrafiało, mimo że z zasady bardziej interesuje mnie pojazd już zaparkowany. Przeczekiwałem deszcz na zadaszonych przystankach, wysepkach tramwajowych, w morzu błota, tramwaj przesuwiał swój ociekający kadłub. Potem znów wychodziło słońce i znaki zakazu, przemyte, zyskiwały nowy blask.

Mój rewir obejmuje Rynek (łatwiejszy, pozbawiony ruchu kołowego teren), biegnące od niego uliczki o nazwach związanych z innymi zawodami, potem odchodząc Szewską w stronę mostów, Planty z idącymi wzdłuż alei parkingami, nabrzeże i niewielki skwer, gdzie zakaz nie dotyczy pierwszych piętnastu minut (łamany nagminnie przez interesantów podjeżdżających na tyły poczty, łudzących się, że załatwią sprawę przez kwadrans).

Tam najczęściej przysiadam na ławce, wpisuję rejestracje do rubryk pod właściwą godziną. Czekam, obserwuję, notuję nieprawidłowości, których nie brak, tak że jeszcze się nie zdarzyło, by notes wystarczał mi na dłużej niż tydzień. Przechodnie, niczego nie podejrzewający, przechodzą mimo. Przede mną rozciąga się uporządkowane miasto, z wieżami kościołów do modlitw, z kominem ciepłowni odprowadzającej energię rurami, które w zimie zaznaczają trawnik nie zamarzającym pasem, z dźwigiem, który zastygł na chwilę, zanim spuści ładunek. Nadlatują gołębie w mylnym przekonaniu, że jestem ich karmicielem. Zaczepia mnie, sądząc, że znalazł rozmówcę, emeryt. Nie odpowiadam, prowadzę obserwację.

Ruch nasila się krótko przed dwunastą. Zajęta bywa już większość miejsc, gdzie parking

dozwolony jest przez kwadrans. Odliczam czas, minuta po minucie, od nowa dla każdego podjeżdżającego auta, jakby wskazówki ścigały się w sztafecie. Zdarza się, że ktoś zdąży w przepisowym kwadransie i mógłbym go wykreślić, zostawić samemu sobie, ale wiem z doświadczenia, że wcześniej czy później wróci, i takich ujmuję tylko – warunkowo – w nawias.

Niekiedy ktoś przybiega w piętnastej minucie i nie wiadomo, jak to zakwalifikować, bo balansuje na granicy przepisów i wykroczeń. Takie przypadki traktuję na ogół liberalnie. Bywa jednak, że ktoś stara się mnie oszukać: parkuje, wraca niby w wyznaczonym czasie, wsiada, ale wcale nie myśli się oddalać, zostaje w samochodzie, potem znów wysiada, sądząc, że czas mu będzie się liczył od nowa. Nic z tego, złotko, czas się kumuluje.

Są tacy, którzy parking myślą z poczekalnią i nie opuszczają pojazdów w ogóle. Wyciągają gazetę, niedbale ją wertują, wielokrotnie wracając na tę samą stronę. Siedzą, czekają umówieni, sądząc, że są przed czasem, ale nie, ten płynie nieubłaganie. Ziewają, nudzą się, nic się nie dzieje. Ktoś nie przychodzi, minuty mijają, kwadrans – i czas zaczyna pracować na niekorzyść. Sam nie mam prawa jazdy ani samochodu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby wyszło na jaw, że ci sami kierowcy, którzy tu zwlekają z odjazdem w oznaczonym terminie, gdzie indziej przekraczają prędkość, w ruchu, w terenie zabudowanym.

Nie pora na podsumowania, ale z obserwacji prowadzonych jedynie na przestrzeni tygodnia, od jedenastej trzydzieści do piętnastej, wynika, że w obrębie szesnastu miejsc postojowych, przewidzianych na maksymalnie kwadrans, łączny czas parkowania poza dopuszczalnym limitem wyniósł ponad sto osiemdziesiąt godzin, a więc prawie tydzień. Tydzień, licząc tylko do piętnastej. Powinno to dać wyobrażenie o rozmiarach zjawiska. Można uznać, że średnio na przepisowy kwadrans przypada drugi kwadrans – nielegalny.

Jak wygląda to w praktyce? Jeżeli ktoś, dajmy na to, podjeżdża o dwunastej, w samo, dla uproszczenia, południe, gdy słońce zatrzymuje się między wieżą kościoła Najświętszej Marii Panny i ratuszem – jeśli akurat jest wrzesień, pogodny, tak że chmury zdążyły się rozproszyć – znajduje wolne miejsce, co, jak nadmieniałem, nie jest łatwe, szczególnie w dzień powszedni, zatrząskuje drzwiami, włącza alarm, a przedtem jeszcze zakłada na kierownicę drążek, który ją unieruchamia, oparty dłuższym końcem o szybę, wysiada, szybkim krokiem oddala się, znikając wkrótce za rogiem – ma kilka spraw do załatwienia, nie cierpiących zwłoki, odebrać przesyłkę na pocztę, za potwierdzeniem odbioru, bo nadawca chce mieć sygnowany dowód, że dotarła do rąk adresata, kupić wino na proszoną kolację, tyle razy już przekładaną, że zapas skończył się przed tygodniem, zapytać w aptece o specyfik z przepisu lekarza, bo dolegliwość może się nasilić.